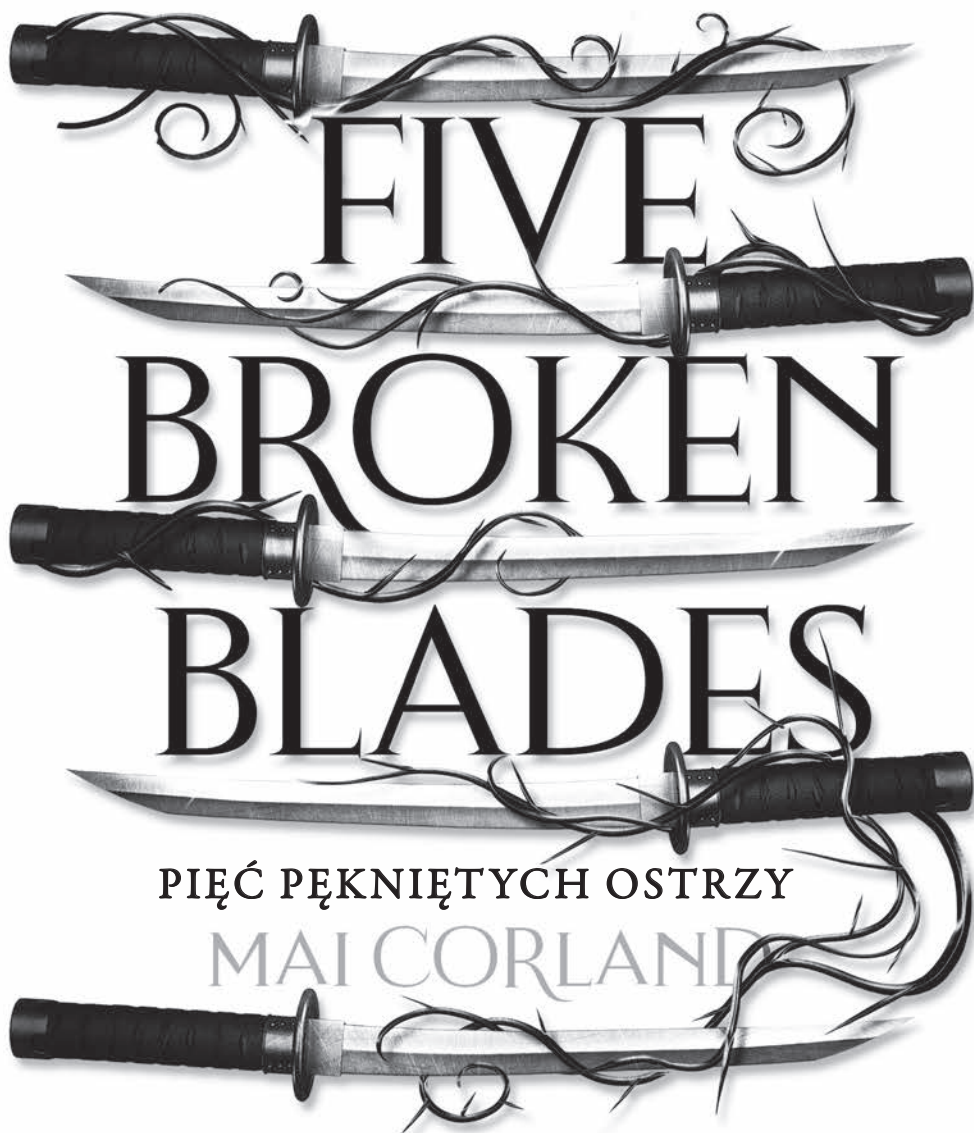




FIVE
BROKEN
BLADES





PIĘĆ PĘKNIĘTYCH OSTRZY

MAI CORLAND

Przełożył BARTŁOMIEJ NAWROCKI



Tytuł oryginału: *Five Broken Blades*

Copyright © 2024 by Meredith Ireland

All rights reserved.

This edition is published by arrangement with Alliance Rights Agency

c/o Entangled Publishing, LLC

Projekt okładki: Elizabeth Turner Stokes

Mapa: Elizabeth Turner Stokes

Zadruk brzegów: Juho Choi

Ilustracje wykorzystane na okładce: © Shutterstock/boonchai sakunchonruedee,

© Shutterstock/Anton Mykhailovskyi

Layout: Jennifer Valero

Copyright © for the translation by Bartłomiej Nawrocki

Redakcja: Marta Tojza

Korekta: Marta Stochmiałek

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-392-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Dla mojego serca i mojego słońca,
i mojego człowieka ze stali*

Pięć pękniętych ostrzy to mroczne przygodowe fantasy pełne śmiertelnie niebezpiecznych kłamców, moralnie wątpliwych działań i sekretów, które mogą zniszczyć królestwo. W związku z tym historia ta zawiera elementy, które mogą okazać się nieodpowiednie dla części czytelników. Przedstawione zostały w niej: przemoc, krew, śmierć (w tym śmierć rodziców, dzieci, więźniów oraz zwierząt), otrucie, substancje odurzające, alkohol, seks, przemoc wobec zwierząt, przemoc na tle płciowym, praca seksualna, myśli samobójcze. W powieści znalazły się także opisy gwałtu, napaści oraz brutalnego ludobójstwa. Czytelników, którzy mogą być wrażliwi na powyższe, proszę o ostrożność. A teraz przygotujcie się do walki o koronę...



PUSTYNIA AMROCK

UGÓR

OUTTON ⊕
TILE ⊕

LARK ⊕

GÓRY TANGUN

YUSAN

RAHWAY ⊕

JEZIORO
GARDA

GAIN ⊕

USE ⊕

MORZE ZACHODNIE



MORZE PÓLNOCNE

KHITAN

GÓRY KHAKATAN

UMBRIA
PYONG

RZĘKA SOL

◆ CAPRICIA

◆ OOSANT

TAMNEKI

◆ ASEYO

JEZIORO JALOWE
(A NA NIM PALAC QALI)

MORZE
WSCHODNIE

◆ LEEP

◆ CETIL

CIEŚNINA ZEBATA

DO WEI →

GAYA





MAI CORLAND

Koreańsko-amerykańska prawniczka i pisarka, urodzona w Seulu, która świetnie odnalazła się w nowojorskim zgiełku. Stamtąd uciekła przed zimą, by zdobywać wiedzę na Florydzie w Rollins College i na Uniwersytecie w Miami.

Z powodu podjętych przez nią różnych wątpliwych decyzji, obecnie znów żyje na zimnie ze swoim partnerem, dziećmi i złotą rybką, która ich wszystkich przeżyje.

Kiedy nie pisze, możesz znaleźć ją śpiącą lub wciskającą opcję latte na ekspresie do kawy. Mai pisze nagradzane książki dla dzieci i młodych dorosłych.

OD AUTORKI

Korea może poszczycić się bogatą mitologią i barwną kulturą. Jako Koreanka adoptowana i wychowana w Stanach Zjednoczonych, tworząc świat *Pięciu pękniętych ostrzy*, czerpałam z własnej historii i doświadczeń. Chciałabym jednak zaznaczyć, że opowieść nie jest ani fikcją historyczną, ani fantasy opartą na prawdziwym świecie; rozgrywa się w unikatowej scenerii inspirowanej moimi studiami nad mitami, legendami i kulturą Korei. Wielokrotnie uciekałam się do licencji poetyckiej, mam jednak nadzieję, że historia ta ubogaci życie czytelników – tak jak wzbogaciła moje w trakcie pisania.

– Mai

ROZDZIAŁ PIERWSZY



ROYO

Miasto Umbria, Yusan

Złoto za krew – to moje hasło reklamowe i życiowe motto. Kupiec powoli odlicza złote mun, ręce w rękawiczkach trzęsą się przy kolejnych monetach. Jest ode mnie trochę wyższy, ale za to ja jestem od niego dwa razy szerszy w barach.

– Szybciej. Nie mam całego dnia – rzucam.

Podskakuje na dźwięk mojego niskiego głosu, dwa brązowe mun z brzdękiem upadają na ziemię. Patrzy, jak monety toczą się dalej, i zastanawia się, czy nie rzucić się za nimi w pogoń. Na Dziesięć Piekieł. Zdechnę tutaj.

W końcu wsuwa mi pieniądze do ręki, płacąc za złamany nos i nogę. Potem spaceruje gdzie pieprz rośnie, wieczorny wiatr targa jego obszytą futrem peleryną. Może i bycie najemnikiem to niezbyt szlachetny sposób na życie, ale bogaczom też sporo brakuje.

Przeliczam złoto, stąpając ciężko między budynkami pokrytymi sadzą. Jest wszystko. Wsypuję monety do sakiewki i chowam ją do wewnętrznej kieszeni kapoty. Moja ostatnia ofiara jęczy w ciemnej alejce za moimi plecami. Jeśli dalej będzie tak wyć, do rana haele oskubią go do kości. A tamten bogaty kutas nie zapłacił mi za morderstwo.

– Możesz się już przymknąć? – pytam.

Skomlenie cichnie.

– Dziękuję bardzo.

Mężczyzna milczy. Albo to moje dobre maniery, albo coś bardzo go boli.

Zastanawiam się, czy wrócić i mu pomóc. Za każdym razem się nad tym zastanawiam. Ale to nie moja sprawa. Nie mój problem, co się dzieje z moimi zleceniami po wykonanej robocie. Ani dlaczego kupiec w ogóle chciał wysłać taką wiadomość.

To droga donikąd. A ja muszę być gdzie indziej.

Chucham, żeby ogrzać zeszytniałe łapy. Jest kurewsko zimno. Mróz ściał brukowaną ulicę, a odpływy zaczęły już zamarzać. Ostatnie badyłaste drzewa rosnące w ciasnym mieście od dawna stoją gołe. Zima w Umbrii zawsze przychodzi szybko. Ale tak to już jest ze śmiercią.

Powinienem prawdopodobnie kupić sobie ciepłe rękawice, ale ściska mnie w dołku na samą myśl o wydaniu choćby jednego srebrnego mun. Każdy grosz się liczy, zresztą i tak nie potrzebuję tego drogiego szajsu.

Na Calowej rozstępują się przede mną dwie dobrze ubrane pary. Futra, muflki i drogie czapki. Wystrojeni jak szczury na otwarcie kanału. Obchodzą mnie szerokim łukiem, a potem biegną dalej, jakbym mógł sprzedać im jakiegoś syfa. Zakładam, że jeśli mój rozmiar kogoś nie przestraszy, blizna na gębie zrobi swoje. Ludzie trzymają się z daleka.

I dobrze.

Ze stęknieniem otwieram barkiem ciężkie drewniane drzwi Pivnej Rzeźni. Bywałem w czystszych i przytulniejszych miejscach z lepszym żarciem, ale tamte lokale nie są dla mnie. W szynku jest ciepło, ale nie gorąco, i głośno, ale bez harmidru. Niczego więcej nie potrzebuję. Pivna Rzeźnia to dom. Od dziesięciu lat robię tu interesy. Jakoś krótko po piętnastych urodzinach zacząłem przyjmować zlecenia przy stoliku w kącie. Miałem wtedy czterdzieści funtów mięśni mniej i twarz bez blizny. Wszyscy wiedzą, co tu robię, ale ponieważ zapewniam im bezpieczeństwo, przymykają na to oko.

Siadam na moim stołku na końcu baru. Yuri zauważa mnie i nalewa mi piwa. Równie dobrze może być po czterdzieście, co po sześćdziesiątce.

Kto go tam wie, łysą pałę. Nie należy do rozmownych i bardzo go za to cenię.

Posyła mi kufel po wyslizganym blacie. Szkło jest prawie że czyste.

– Ktoś cię szukał.

Unoszę brew i wychylam łyk piwa. Ktoś zawsze mnie szuka – że-
bym się z kimś pobił, kogoś skrzywdził, innego zabił. To akurat żadna
nowość.

– No i?

Yuri przerzuca sobie ścierkę przez ramię, nachyla się do mnie.

– Dziewczyna.

Odstawiam szklankę. Serce wali mi głucho i podchodzi do gardła.
Cofam je siłą woli i udaję, że w ogóle mnie to nie obchodzi.

– Jak wyglądała?

– Ładna – stwierdza Yuri. Niezbyt pomocny opis. Zaciskam pięść
i wbijam w niego wzrok. Otwiera szeroko oczy i pociera nos, złamany
jakiś czas temu przez kogoś innego. Zaczyna bełkotać: – Jakoś tak mo-
jego wzrostu, duże brązowe oczy, włosy czarne, chyba krótkie. Mniej
więcej w twoim wieku, po dwudziestce. Czerwony płaszcz, aksamitny.

Przełykam ślinę, trawiąc jego słowa. Wysoka dwudziestoparoletnia
dziewczyna, która o mnie rozpytuje, to rzeczywiście coś niezwykłego.
Dochodzę też do wniosku, że „ładna” faktycznie robi różnicę, bo nie
przypominam sobie, kiedy ostatnio szukała mnie ładna dziewczyna.
Może chce, żebym dał nauczkę jej byłemu chłopakowi albo zemścił się
na innej. Tyle że ja nie krzywdzę kobiet.

– Zatrzymała się Pod Czarnym Trzewikiem – dodaje Yuri.

To chyba najlepsza knajpa w całej Umbrii. Czyli ma pieniądze i nie
jest stąd, a jednak z jakiegoś powodu wiedziała, że powinna szukać wła-
śnie mnie. Tutaj. Cuchnie kłopotami.

– Nie jestem zainteresowany.

Yuri wzrusza ramionami.

– Jak tam sobie chcesz.

Odchodzi, by obsłużyć innego klienta. Facet wygląda staro jak na swój wiek, siedzi na stołku cztery kroki ode mnie. Kontakt wzrokowy nawiązuje tylko z Yurim, więc przyszedł, żeby napić się w samotności. Czasem człowiek czuje się mniej samotny, kiedy utopi smutki w tej samej beczce piwa, co inni. Kiedy rozplynie się w tłumie bywalców, nawet jeśli nie odezwie się do nikogo słowem. Przeważnie to właśnie ja.

Ale tego wieczoru nie mogę zniknąć. Żołądek podpowiada mi, że to będzie jedna z tych nocy, których nie zapomnę, nieważne, ile wypiję. Po co więc prosić się o jutrzejszy ból głowy?

Dopijam piwo, zostawiam męty na dnie. Odsuwam stołek, nogi szorują po lepkich deskach.

– Zbieram się.

– Już? – Yuri unosi brwi. Wygląda tak, jakby to, czego nie ma na głowie, znalazło się na jego twarzy.

Ma prawo się dziwić. Normalnie zamówiłbym kilka piw, usiadł w swoim kącie i czekał, aż wpadnie następna robota. Kłopoty zawsze wiedzą, jak mnie znaleźć. Zwykle dzieje się to szybko, ale czasem trwa aż cztery piwa. Tego wieczoru wystarczyło jedno.

– Łeb mi pęka. – Stukam się palcem w skroń, jakby nie wiedział, gdzie mam głowę. Ale to kłamstwo. A po jego paciorkowatych, świdrujących oczach widzę, że ni w ząb mi nie wierzy. Ale przytakuje.

– Dobrej nocy, Royo.

Gdy robię krok w kierunku wyjścia, dzieje się coś dziwnego. Odnoszę wrażenie, jakby moje serce zgubiło rytm. Kątem oka, przysięgam, dostrzegłem czerwoną smugę. Mrugam szybko, rozglądam się, patrzę w lustro wiszące nad barem. Nic. Tylko moja twarz, blizna i ogolony czerep. Żadnej czerwieni w zasięgu wzroku. Kręcę głową. Naprawdę nie jestem dzisiaj sobą. Im szybciej stąd pójdę, tym lepiej.

Z Piwnej Rzeźni wychodzę z powrotem na zimną ulicę. Niedługo będę musiał sprawić sobie nowe sznurowadła, pewnie też znowu załatać skórę. Ale buciory jeszcze na trochę mi starczą.

Jak słowo daję, kiedy byłem w szynku, na zewnątrz zrobiło się jeszcze zimniej. W powietrzu pojawiają się małe obłoczki pary. Kolejny raz dmucham w dłonie i ruszam przed siebie.

Pięć przecznic w złym kierunku później mijam Pod Czarnym Trzewikiem. Nie mogę się powstrzymać. Zwalniam i wpatruję się w okna, przez które widać światła lamp. Ciekawe, czy... kręcę głową.

Co ja wyrabiam? Czego tu w ogóle szukam?

Przypieszam, by jak najszybciej stąd odejść. To zbyt podejrzane. Zbyt dziwne. Mój instynkt nigdy się nie myli, a blizny, które noszę, to pamiątki po tych wszystkich razach, kiedy go nie posłuchałem. Ostatni kosztował mnie wszystko. Nie popełnię już tego samego błędu.

Od chałupy położonej w biedniejszej części miasta dzieli mnie piętnastominutowy marsz aleją Avalonu. Gdy wychodzę z dzielnicy biznesowej, budynki robią się mniejsze i bardziej wynędzniałe. Umbria stacza się po równi pochyłej, od kiedy król Joon doszedł do władzy – byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Zresztą cały ten kraj schodzi na psy.

Ulica zakręca, po mojej lewej pojawia się rzeka. Można by pomyśleć, że spacer nad wodą to coś przyjemnego, ale nie w Umbrii. Płynie tu jedynie syfiasta Sol. Ludzie opróżniają nocniki i wyrzucają śmieci prosto do wody. A kiedy podejdzie się na tyle blisko, żeby usłyszeć fale rozbijające się o brzeg, robi się jeszcze zimniej. Zimno przenika cię do kości.

Próbuję zachować czujność, pilnować otoczenia. W Umbrii czai się zbyt wiele niebezpieczeństw – gangi, ludzie tacy jak ja, ptaki hael – żeby błądzić z łbem w chmurach. Ale trudno mi się skupić. Jestem... rozkojarzony.

To wina Yuriego. Prowadzi mordownię, nie pocztę. Powinien trzymać jęzor za zębami.

Ale tak naprawdę nie jestem zły na niego. Tak naprawdę myślę o niej. Kiedy Yuri powiedział, że to była dziewczyna, chwyciłem się nadziei. A nadzieja to wyszczerbiona, porzewiała brzytwa. Nadzieja potrafi poskładać marzenia z potłuczonego szkła tylko po to, by rzeczywistość mogła przyjść

PIĘĆ PEKNIĘTYCH OSTRZY

i rozwalić je jeszcze raz. Nadzieja to najokrutniejsza ze wszystkich kar.
A bez nadziei wiem jedno: to nie ona, głupcze. To nie może być ona.
To nigdy nie będzie ona.

Bo sam ją zabiłem.

ROZDZIAŁ DRUGI



EUYN

Miasto Outton, Ugór

Polują na mnie.

Przemykam lekko przez outtoński targ, śmiejąc się pod nosem, bo los zakpił ze mnie okrutnie. Sam byłem niegdyś cenionym myśliwym, zdaniem króla – najlepszym łowcą w Yusanie. A dziś tutaj, na pustyni w Ugorze, to ja stałem się zwierzyną.

Robię krok w bok i wykorzystuję stertę drewna jako zasłonę, by zniknąć z oczu prześladowcom. Spędziłem trzy lata, próbując uniemożliwić im zgarnięcie dwudziestu tysięcy złotych mun nagrody za moją głowę. Przynajmniej to niedorzeczne kłębowisko gawiedzi zwane rynkiem na coś się przyda.

Targ w Outtonie wygląda, jakby ktoś rozstawił go w jedną noc, mając do dyspozycji byle jakie deski i strzępy materiałów ocalone z tonącego statku, a następnego ranka zdecydował, że niech już lepiej tak zostanie na kolejne sto lat. Zastanawiam się, czy w Yusanie sprawy mają się podobnie – czy wszystkie targowiska są brudne i sklecone naprędce? Moja stopa nie powstała nigdy na żadnym rynku, za sprawunki odpowiadała służba. Służący spełniali w zasadzie każde nasze życzenie. Ale to już nie jest moje życie. To tylko życie, o którym nie umiem zapomnieć.

Przechodzę obok straganu ze skórami, którymi handluje jakiś opryskliwy typ. Kiwa mi głową, więc odpowiadam mu tym samym. Widziałem

go już wcześniej, ale nie wiem, jak ma na imię. Nie pytałem i nie zapytam, o ile on nie zapyta pierwszy.

Kiedy dociera do niego, że nic dziś nie kupię, ignoruje mnie i ściskając nóż w dłoni, wraca do wypatrywania złodziei. Bez króla sprawiedliwość w Ugorze wymierza się na własną rękę.

Czuję, że jestem obserwowany. Oglądam się szybko przez lewe ramię, by sprawdzić, czy mnie śledzą. Czysto.

Mijam rozwrzeszczany drób i aromatyczne przyprawy. Goździki i kardamon pachną oszłamiająco; powłóczę butami po piachu. Udaję, że zastanawiam się nad kupnem suszonych daktyli, by tym razem móc obejrzeć się przez prawe ramię. Wciąż czysto. Typowy obrazek: zmęczone kobiety w zgrzebnych sukienkach niosą towary na głowach, a brodaci mężczyźni szukają zarobku lub chcą zarobić w pysk. Dzieci widuje się tu rzadko, a te, które gdzieś mi mignęły, to brudni, mali kieszonkowcy.

Tylko że dzisiaj nie boję się o moją sakiewkę, lecz o własną głowę.

Serce tłucze mi się w piersi, usta zaś mam tak wyschnięte jak ziemię pod nogami. Ale to nie przez słońce. Rzecz w tym, że jestem celem, na zewnątrz, w świetle dnia. Mimo szczerych chęci nadal nie umiem wmieszać się w pospólstwo. Zapuściłem brodę, na czarne włosy naciągam kaptur; tunikę i spodnie mam pokryte ulicznym pyłem jak wszyscy, a jednak nie ma we mnie nic pospolitego.

Dwie kobiety podnoszą wzrok, kiedy je mijam. Odwracam się w poszukiwaniu zagrożenia, skanuję wzrokiem dachy budynków z wypalanej gliny. Ale nie, one po prostu patrzą na mnie. Bo moje rysy i zachowanie są zbyt delikatne, jestem za wysoki. Tkwią w Ugorze przeszło trzeci już rok i wciąż nie nauczyłem się chodzić przygarbiony jak oni. Moje ramiona nie chcą opaść pod ciężarem codzienności. Gdy próbuję udawać, ładna gospodyni zawsze mruży oko i pyta, czy „nie dałem dzisiaj w kubek” – tak mówią tu na pijanych.

Powinienem zostać w oberży aż do zmierzchu, kiedy to lepiej wychodzi mi wmieszanie się w tłum. W oberży jestem bezpieczny – na

tyle, na ile w ogóle mogę być bezpieczny. Sprawdziłem każdy kąt, obmyśliłem każdą możliwą drogę ucieczki. Za zasłoną ukryłem drabinę sznurową na wypadek, gdybym musiał szybko ulotnić się z pokoju na piętrze. Im wyżej, tym goręcej, ale przez okno na parterze byłoby zbyt łatwo dorwać mnie we śnie. Nie żebym jakoś dużo sypiał. Podkrążone oczy stanowią tego najlepszy dowód. Kiedy już zdarzy mi się odpłynąć, pod poduszką trzymam zatruty sztylet, a pod łóżkiem – kuszę. W umywalni ukryłem miecz. Przy drzwiach i oknach zastawiłem pułapki. Jeśli mogę tego uniknąć, nie wychodzę, zwłaszcza w ciągu dnia. Ale nie mogłem zignorować czerwonej koperty, którą dziś rano znalazłem pod drzwiami.

Książę Euyn Hali Baejkin
Stadnina. Pierwszy dzwon.
Mam dla Ciebie propozycję.

Książę Euyn. Książę. Euyn.

Wpatrując się w wiadomość jak zakłęty, poczułem, jak na żołądku ciąży mi liche śniadanie: zimna kiełbasa i czerstwa bułka. Wiedzą, kim jestem. A nikt nie powinien tego wiedzieć – książę Euyn został stracony trzy lata temu. Kiedy potężni ludzie chcą cię zabić, najlepiej, żeby uznali, iż dopięli swego. Teraz posługuję się imieniem Donal.

Ściskam kopertę w kieszeni. Znaleźli mnie. Tylko kto?

Przez ostatnie sześć dzwonów kilkakrotnie przyszło mi do głowy, że to może być zasadzka. Skanuję ponownie tłum, wypatrując czarnych strojów królewskich asasynów. Może i byłby to dar od mojego kochanego starszego brata – wyrwać mnie w końcu z tego limbo. Zabić mnie, jak przystało na mężczyznę. Problem w tym, że ja chcę żyć – a przynajmniej nie godzę się na śmierć. A król Joon sam wprost nie zleciłby mojej egzekucji; nie zrobił tego już ostatnim razem, zamiast tego zdał się na zabójczą potęgę żywiołów.

O co więc chodzi?

Kto to przysłał? Jestem paranoikiem, ale na logikę wiem, że to nie asasyni z pałacu – oni nie zostawiają bilecików wizytowych. Wolą poderżnąć ci gardło, zanim zdążysz pisać.

Szaleństwo. To szaleństwo odpowiedzieć na to zaproszenie. Całym sobą chcę zawrócić. Wycofać się. Ale by zdobyć odpowiedzi, mogę iść tylko w jednym kierunku – przed siebie.

Tumany kurzu wzbijają się spod moich butów, kiedy wychodzę z bezładnego targu. Pył jest tu wszechobecny. Próby zachowania czystości są kompletnie pozbawione sensu. Co ja bym dał za kąpiel w pachnących olejkach w Pałacu Qali, za nieskazitelne korytarze z zimnego marmuru lub chociaż cień drzew w królewskich ogrodach, gdzie w lecie służący rozpyłali chłodną mgiełkę i wachlowali nas piórami. Zamiast tego jestem skazany na słońce, piaskowe węże i pustynne sępy krążące mi nad głową.

Przypatruję się śladom stóp, choć przez rynek przewija się zbyt wielu ludzi, bym mógł zrobić z tego jakiś użytek. Ale nasze wysokie wojskowe buty zostawiają charakterystyczne odciski, więc sprawdzam to na wszelki wypadek.

Upał daje się we znaki, gdy zmierzam w kierunku stadniny; poprawiam kaptur, oglądając się za siebie po raz nie wiem który. Nic. Nic poza falującym powietrzem i targującym się gminem. Ale „nic” nie oznacza bezpieczeństwa – po prostu jeszcze nie dostrzegasz zagrożenia. W Yusanie polowałem na każde żywe stworzenie i mało które wiedziało, że się zbliżałem.

Jestem już prawie w stadninie, kiedy zauważam kolejną czerwoną kopertę. A potem trzymającą ją rękę. I już wiem, że jest za późno.

ROZDZIAŁ TRZECI



SORA

Miasto Gain, Yusan

Łąka wygląda pięknie o tej porze roku. Muskam delikatną, ozdobioną biżuterią dłonią wysoką trawę. Zielone źdźbła są śliczne i wrażliwe, a jednocześnie twarde i ostre. Jak ja.

Nie pamiętam dokładnie, od czego zaczęły się te lekcje zbieractwa, a już na pewno nie kiedy nabrały regularności. Ale co tydzień spotykam się z pięciorgiem dzieci, zmuszonych do żebrania, na łące poza okazałymi murami miasta. Pomiędzy tym miejscem a lasem rośnie zaskakująco wiele dzikich owoców i słodkich jagód, które nadają się do spożycia. W gorętsze dni chowamy się z dziećmi w cieniu drzew, gdzie przekazuję im wiedzę na temat jadalnych korzeni, ale nie ośmieliłabym się pójść o krok dalej. Nie mogę.

– Sora, a ten? – pyta Gli. Trzyma w dłoni poznaczonego plamami grzyba. Drobna twarzyczka z zajęczą wargą spogląda na mnie z nadzieją. Gęste loki rozczesła najlepiej jak potrafiła.

Gli ma dziewięć lat, czyli tyle, ile ja miałam, kiedy mnie zabrano. Cóż, nie zabrano... sprzedano.

Moi rodzice otrzymali pokaźną sumę za swoją najstarszą córkę. Moi byli rodzice. Podobnie jak te dzieci, ja też jestem sierotą. Ale w przeciwieństwie do nich nie jestem wolna.

Wpatruję się w linię horyzontu. Czasem myślę o ponownym wbiegnięciu między drzewa, tym razem gotowa na to, co czeka w lesie

Xingchi. Mogłabym uciec z Gainu i nigdy nie wrócić. Może udałoby mi się dotrzeć aż na północ i schronić w Khitanie. Ale potem przypominam sobie o posiadanym przez nich zabezpieczeniu. O powodzie, który nie pozwala mi odejść.

– Sora? – dopytuje Gli.

Wciąż patrzy na mnie swoimi wielkimi brązowymi oczami, czekając na odpowiedź. Odpycham od siebie natrętne myśli i wracam do chwili obecnej.

– Nie, nie, moja mała – odpowiadam. Zakładam długie czarne włosy za ucho i pochylam się, by obejrzeć jej znalezisko. – Widzisz te plamki? Pamiętasz, co znaczą?

Daję jej chwilę, żeby mogła przypomnieć sobie lekcję z ubiegłego tygodnia.

Gli marszczy czołko, broda opada jej na pierś.

– Truczna.

– Zgadza się.

Gładzę ją po policzku i łagodnie unoszę jej podbródek. Skórę ma ciemniejszą od mojej północnej karnacji. Jest bliska też. Życie nieczęsto wybaczalo jej błędy. Ja mogę.

– Przypomniałaś sobie, choć zapomniałaś. To równie cenne, co od razu znać odpowiedź – pocieszam ją. – Może nawet cenniejsze, bo teraz zapadnie ci w pamięć. – Wyjmuję grzyb z jej rączki. – Nie zbieramy tych trujących.

Uśmiecha się pomimo popełnionego przez siebie błędu, na co również reaguję uśmiechem. A potem Tao, który ma pięć lat i chyba nigdy nic nie zbiera, tylko przez cały czas trzyma mnie za rękę, odciąga mnie, by pobiec za motylem. Daję się porwać, unosząc rąbek kolorowej sukienki. Dzieciństwo trwa krótko, a Yusan nie oferuje biednym zbyt wielu przyjemności. Jeszcze mniej ma ich dla zabójców takich jak ja.

Ale jasne promienie rozświetlają łąkę, popołudnie jest ciepłe, dzieci chichoczą, a motyle unoszą się na łagodnym wietrze. Powietrze pachnie

ziemią i dzikim kwieciami z nutką Morza Zachodniego. Słońce wkrótce zniknie, zastąpione przez ulewne deszcze pory monsunowej. Próbuję rozkoszować się słonecznymi dniami. Zapamiętać je.

Staram się dostrzegać to, że w tym królestwie wciąż istnieje dobro. Że jestem jedną z tych, którym się poszczęściło. Przeżyłam. My przeżyliśmy.

Ledwie kończymy dzisiejszą lekcję, kiedy na skraju łąki pojawia się postać. Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie, plecy same się prostują. Wszędzie poznałabym tego czarnego rumaka i tę sylwetkę. To Hrabia. I bogowie, jak ja go nienawidzę. Życzyłam mu śmierci dobrze ponad tysiąc razy. Ale niestety bogowie nie spełniają życzeń dziewczyn takich jak ja.

Wydaje mi się, że uchodzi za atrakcyjnego, ale majątek i status podnoszą wartość potężnych mężczyzn w ludzkich oczach. Jest starszy ode mnie o dwadzieścia pięć lat, a serce ma czarne niczym bryła węgla. Ja widzę go takim, jaki jest.

– Dobrze, dzieci. Za tydzień o tej samej porze? – pytam.

– Tak, pani Soro – odpowiadają chórem.

– Dobrze. – Uśmiecham się, ale lodowatymi palcami poklepuję Gli po ramieniu. – Zbierajcie się już.

Jeśli Hrabia byłby w podłym nastroju, potrafiłby schwycić któreś dziecko i poderżnąć mu gardło. Nie spotkałaby go za to żadna kara. Wiem to, bo widziałam, jak zrobił to wiele lat temu. Chcę, żeby dzieci jak najszybciej znalazły się od niego możliwie daleko. Ale te maluchy wychowała ulica. Wyczuwają niebezpieczeństwo i znikają w kilka sekund.

Uśmiecham się do opustoszałej łąki, po czym idę w stronę rumaka. To koń bitewny, który stratowałby mnie, nawet na mnie nie patrząc. Podobnie jak jego jeździec. Mój uśmiech znika, gdy podchodzę bliżej.

Hrabia zawsze przygląda mi się swoimi brązowymi oczami jak wystawie w domu słodczy. Jakby się zastanawiał, gdzie teraz mnie nadgryźć. Ale to nie pożądanie, lecz posiadanie. Jestem jego własnością, wraz z ciałem i duszą.

Pozdrawiam go niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Mój panie.

– Dobrze wyglądasz, Soro. – Uśmiecha się, ponownie oglądając mnie od stóp do głów, na wypadek gdyby umknęło mi to za pierwszym razem. – Doprawdy nigdy nie zrozumiem, czemu zaprzątasz sobie głowę tymi zawszonymi smarkaczami.

Patrzę na niego. Nie zadał pytania, więc nie mam obowiązku odpowiadać. Nie jestem tu po to, by umilać mu czas konwersacji.

Hrabia wzdycha i wyciąga dłoń w rękawicy, by wręczyć mi bilet z nazwanym na nim nazwiskiem. Tak właśnie otrzymałam kolejny cel. Kolejną osobę do zabicia. Duszę, którą mam skraść.

I nie mam wyboru.

Morderstwo to sposób na zwrócenie Jego Łaskawości wszystkich złotych mun, które dał moim byłym rodzicom. Pieniądzy, których nie oszczędził na moją edukację i szkolenie. Szkolenie, o które nigdy nie prosiłam, a po którym zostały mi niezliczone i w większości niewidzialne blizny. Każde zabójstwo odejmowane jest od mojej ceny i wysokich odsetek, których naliczanie rozpoczęło się dwanaście lat temu, gdy zostałam sprzedana.

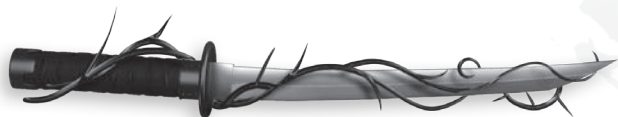
Ale muszę spłacić dług, bo inaczej moją młodszą siostrę, Daysum, czeka niewyobrażalne cierpienie. A to jedyna rodzina, jaka mi pozostała. Jest pod jego „kuratelą”, co stanowi ładniejsze określenie więzienia. Kiedy mnie kupował, wziął ją jako zabezpieczenie.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem, Soro – odpowiada Hrabia. Na opalonej twarzy pojawia się lodowaty chłód. To jego prawdziwe oblicze, zdradzające jawne okrucieństwo. – Jego ciało powinno ostygnąć do świtu. Jeśli tak się stanie, będziesz mogła spotkać się jutro ze swoją siostrą na jeden dzwon.

Odjeżdża i zostawia mnie samą na łące. Groźba jest jasna. Zawiedz mnie, a nigdy więcej nie ujrzysz Daysum.

ROZDZIAŁ CZWARTY



ROYO

Miasto Umbria, Yusan

Kiedy jestem pod drzwiami, ni chuja nie czuję już palców. Inni ludzie – głupi, naiwni ludzie – chodzą z rękami w kieszeniach, ale mnie nie stać na podobną głupotę. Nie stać mnie na czas potrzebny na wyswobodzenie rąk ani na otrzymanie ciosu, którego bym uniknął, gdybym zrezygnował z ogrzania sobie dłoni.

Ale wróciłem już do domu. Dom to dość średnio chroniąca przed wiatrem szopa położona na tyle blisko Sol, że czuć smród rzeki. Za to czynsz wynosi jeden złoty mun co dwa miesiące, więc nigdzie się stąd nie wybieram.

Przed wejściem do środka rozglądam się w poszukiwaniu oznak włamania. Okna zamknięte na głucho. Wyblakłe deski dokładnie tam, gdzie powinny być. Usatysfakcjonowany, otwieram kolejne trzy zasuwę, pakuję się do środka i zapalam kaganek.

W chałupie mam prawie tak zimno jak na zewnątrz. Kiedy wychodzę, nie zostawiam rozpalonej kozy, bo to zwyczajna strata pieniędzy. Ale dzisiaj trochę tego żałuję. Potrzebuję ciepła i trzaskających płomieni.

Dorzucam do pieca, który budzi się z powrotem do życia, i ogrzewam dłonie przy tłących się węglach. Trwa to kilka minut, ale w końcu rozgrzewam się na tyle, że mogę się zabrać do swojego rytuału.

Wystrój mam raczej ubogi: stół, dwa krzesła, duże siedzisko przy kozie, łóżko, umywalnia. Wstaję i upewniam się, że zasłony w oknach są szczelnie

zaciągnięte, po czym odsuwam łóżko spod ściany. Podważam deskę w podłodze. Pod deską kryje się schowek, który sam wykopałem. W schowku zaś kryje się najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Worki pełne złotych mun.

Wyciągam sakiewkę z kieszeni. Piętnaście złotych monet. Pięć z dzisiejszej roboty. Sześć zgarnięte rano z wczorajszego zlecenia. Cztery z zakładu, który wygrałem w dzielnicy hazardowej.

Piętnaście złotych monet. W Umbrii to więcej niż przyzwoity miesięczny dochód, ale ja potrzebuję więcej. Zawsze potrzebuję więcej.

Omiotam wzrokiem dziesięć schowanych worków. W każdym mieści się pięć tysięcy złotych mun. Uskładanie takiej sumy zajęło mi dziesięć lat. Okrągła dekada grózb, hazardu, łamanych kości, ocierania się o śmierć i krwi. Tyle krwi. Ale prawie warto zobaczyć taką ilość złota upchanego w tak ciasnej przestrzeni. Czuję ogarniające mnie ciepło. Dumę. Bezpieczeństwo. Rzeczy, które można kupić za pieniądze. A potem przypominam sobie, że to ledwie połowa sumy, której potrzebuję.

Ostrożnie podnoszę najmniejszy worek. Dorzucam urobek z dzisiaj i podliczam od nowa: dwieście pięć złotych mun. Tulę tobołek jak dziecko, mając nadzieję, że urosnie tłusty i duży jak rodzeństwo, a potem z czułością składam materiał i kładę obok braci.

Codziennie liczenie skończone, zamykam więc schowek i myję się przed pójściem do łóżka. Gdy wszystko stoi z powrotem na swoim miejscu, chwytam pustą sakiewkę. Muszę wymyślić, jak ją znowu napęłnić. Jutro. Jeszcze więcej krzyków, jeszcze więcej krwi, jeszcze więcej zakładów. Cokolwiek przyniesie mi złoto.

Dopiero kiedy chowam sakiewkę do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyczuwam tam jakąś kartkę. Wyciągam ją. To biały bilet ze złotym obramowaniem, wypisany eleganckim pismem.

Royo

*Dziś wieczorem, Pod Czarnym Tizewikiem
Mam dla Ciebie zlecenie*

Raz po raz obracam kartonik. Skąd się tam wziął? I kiedy? Rozglądam się, choć przecież wiem, że jestem sam. Mimo to sprawdzam, bo to niemożliwe – nikt nie da rady podejść tak blisko mnie. Ale jakimś cudem temu komuś się udało.

Przetrząsam gruntownie chałupę i w końcu nabieram pewności, że nikogo w niej nie ma. Wciąż trzymam w dłoni ulubione ostrze, tak na wszelki wypadek. Robię jeszcze jeden obchód i dostrzegam w lustrze w umywalni swoje rozgorączkowane spojrzenie. Oczy mam żółtobrązowe, ale teraz wydają się raczej czarne. Jak szczecina na moim łbie.

Muszę się uspokoić i pomyśleć. Drzwi są zamknięte; nikt przy nich nie majstrował. Bilet nie pojawił się, kiedy przeliczałem złoto. To musiało być w mieście. Albo jak wracałem do domu, albo jak byłem w szynku. Momentalnie przypominam sobie czerwoną smugę w Piwnej Rzeźni, tamto dziwne uczucie. Nic mi się nie przywidziało. Ktoś dobrał mi się do kieszeni.

Nie, nie dobrał. Złoto zostawił. Zamiast tego podrzucił ten bilet.

Wiem o tylko jednej osobie, która zatrzymała się Pod Czarnym Trzewikiem. Dziewczyna, która mnie szukała. Pomyślałbym, że to zbieg okoliczności, ale do zbiegów okoliczności potrzebne jest szczęście, a tego w Umbrii brakuje. Zwłaszcza mnie.

Nie jest dobrze. Jest nawet w chuj, kurwa, źle.

Chodzę w kółko po ciasnej izbie, ściskając bilet w dłoni. Gołe ściany wydają się za ciasne, a zamiast ostrego mrozu czuję, że zrobiło się tu jak w saunie. Twarz mam rozpaloną, pot spływa mi po szyi. Ciężkie kroki dudnią na pozdieranej drewnianej podłodze.

Jakim cudem?

Nikt nie potrafi zbliżyć się do mnie na tyle, by mnie okraść. Jestem czujny, zawsze. A już na pewno od dnia, w którym przecięto mi mordę na pół. Jakim więc sposobem ktoś podrzucił mi tę kartkę tak, że się nie zorientowałem? I kto? Jeśli to ta dziewczyna, o której opowiadał Yuri, mam jeszcze więcej pytań.

Tyle że to przecież nie ma znaczenia. Powiniennem odpuścić. Powiniennem od razu spalić ten bilet. Mój instynkt wrzeszczy, że ta wiadomość oznacza tylko kłopoty.

Ale muszę się dowiedzieć, jak do tego doszło. Bo przy swoim wzroście pięciu stóp i dziesięciu cali oraz dwustu trzydziestu funtach żywej wagi od lat nie czułem się tak narażony na cios. Jeśli ktoś potrafi włożyć mi wiadomość do wewnętrznej kieszeni, równie dobrze może poderżnąć mi gardło. Muszę się więc dowiedzieć jak. A przede wszystkim dlaczego.

Narzucam kurtkę i wychodzę w noc.